PO SEZONIE.

Łowiecki sezon ukończył się z dniem 31 stycznia. Zamknięcie sezonu nasuwa garść poważnych refleksji i rozpamiętywań, które winny żywo zająć umysły Braci z pod sztandaru S-go Huberta.

Myślą przewodnią któraby natchnęła do przeprowadzenia racjonalnego i właściwego „myśliwskiego rachunku sumienia" winna być stara niemiecka maksyma zamknięta w słowach „Kein Heger, kein Jaeger". Dobro zwierzyny i związane z tem wyłącznie sprawy winny być podstawą do naszych posezonowych refleksji i poczynań w przyszłości.



W Tatrach. Zdjęcie dr. Malsburga.

Przedewszystkiem winniśmy zreasumować wszystkie dodatnie i ujemne czynniki, które wpłynęły na rozwój, względnie na szkodę zwierzostanu.

Gdybyśmy stale prowadzili statystykę upolowanej zwierzyny, mielibyśmy zawsze przed oczami obraz cyfrowy zwierzostanu. Niestety, prowadzona, bądź dorywczo, bądź-też tylko przez większe własności, statystyka, nie może być odzwierciadleniem istotnego zwierzostanu całej Polski.

O ile jednak sądzić można ogólnie na podstawie głosów zaczerpniętych z prasy łowieckiej, bilans zwierzostanu naszego w sezonie ubiegłym, prócz ptactwa wodnego względnie przelotnego, przedstawia poważny deficyt. Nader ostra zeszłoroczna zima zdziesiątkowała zwierzynę, a zbyt małe kary na kłusowników, również w znacznej mierze sprzyjały tępieniu różnemi sposobami zgłodniałych zajęcy i kuropatw.

W sezonie też zajęcy i kuropatw było niewiele. Niestety gdzieniegdzie tylko na mniejszych chłopskich dzierżawach spotykałem dość dużą ilość stad kuropatw, że wymienię: teren p. Art. Rychtera w Kamienicy Polskiej (pod Częstochową), — p. Mienkiny (członka Zarządu Tow. Praw. Myśl. w Dąbrowie G.) w Witkowicach (pod Miechowem) gdzie można było spotkać duże stada kuropatw, dzięki racjonalnej ochronie tych ptaków przez dzierżawców polowania, co z uznaniem podkreślić należy.

Na innych chłopskich terenach prawie wcale, lub bardzo mało było kuropatw—dzięki rabunkowemu systemowi gospodarki łowieckiej, prowadzonej przez różnych pseudo-myśliwych, którym racjonalne łowiectwo musi wypowiedzieć stałą, systematyczną i nieubłaganą walkę przy pomocy władz. Starostwa są jedynym najpoważniejszym czynnikiem, a wydawanie bardzo oględne, z ograniczeniem do minimum, pozwoleń na broń myśliwską i karty łowieckie,— znakomicie się przyczyni do rozrostu zwierzyny.

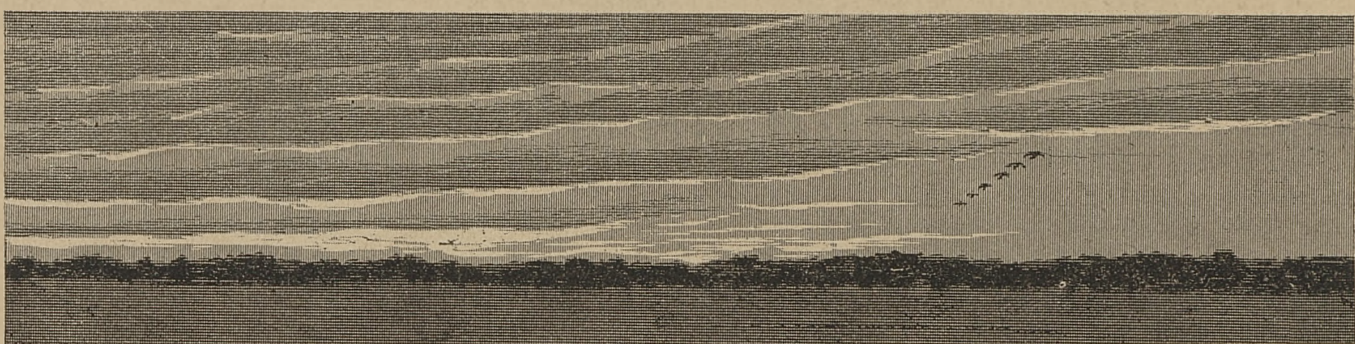
Przy wydawaniu pozwoleń Starostwa winny się opierać na kompetentnych wskazówkach i opinji miejscowych zrzeszeń łowieckich.

Muszę tu dla porządku rzeczy zaznaczyć, że Starostwo Będzińskie, którego szefem jest nader dbały o sprawy łowieckie Starosta pan Trzciński, w wielu bardzo wypadkach kieruje się wskazówkami i opinją Dąbrowskiego Tow. Prawid. Myśliwstwa, w skład którego m. in. wchodzi p. Liwiński (referent Starostwa) który acz młody myśliwy, niemniej jednak jako gorliwy adept Ś-go Huberta jest nieubłaganym tępicielem kłusownictwa. Dzięki zabiegom rzeczonego Towarzystwa, jak również energicznej działalności pana L. w tym roku liczba pozwoleń na broń myśliwską będzie do pewnego stopnia ograniczona i wogóle zdaje się władze tutejsze zrozumiały, że w ich ręku wyłącznie prawie leży ukrócenie plagi kłusowniczej, przy współudziale oczywiście całej rzeszy prawdziwych myśliwych-hodowców. Okoliczna policja pow. Będzińskiego wykazuje również dużą gorliwość i starania w tym względzie, tępiąc nieubłaganie kłusowników. Tow. Prawidł. Myśl. w Dąbrowie G. jest stale informowane przez Starostwo (za łask. pośrednictwem pana L.) o wymiarach kar nakładanych na kłusowników za odn. przekroczenia. I tak w ostatnich czasach w powiecie Będzińskim zostali ukarani następujący kłusownicy: Jan Kleczko, Jan Dysza, Paweł Sołtysik, Piotr Kieras, Tomasz Nowak, Antoni Czapla, Walenty Zimoński, Adam Gala i Jan Lanartowicz. Kary były 250 zł., względnie areszt od 7 do 30 dni, bez zamiany na grzywnę. Tow. Praw. Myśl. w Dąbrowie prowadzi kontrolę ukaranych kłusowników—jako statystykę ze wszech miar pożądaną.

Dobrzeby było aby podobna statystyka była zaprowadzona i przez inne Towarzystwa, czy zrzeszenia myśliwskie, na całym obszarze Rzeczypospolitej.

Należy mieć nadzieję, że o ile istotnie władze całego obszaru Polski w tym roku ograniczą wydawanie pozwoleń na broń myśliwską z jednej strony, — przy obecnej łagodnej zimie z drugiej, — ogólny zwierzostan znacznie się poprawi, co daj Boże!

Stefan Ostrowski.



ANTON LISICA.

Służąc w rządowych lasach na Polesiu w puszczy Turowskiej na kilka lat przed wojną, lubiłem słuchać opowiadań myśliwskich starego kłusownika Antona Lisicy ze wsi Ozierany, położonej w Mozyrskim powiecie, nad rzeką Stwigą. Wieś Ozierany jest otoczona bagnistą niedostępną puszczą z trzech stron, a z czwartej strony przepływa rzeka Stwiga, kręta, głęboka miejscami do dziesięciu metrów, pełna ryb i wodnego ptactwa, które się trzyma jej zarośniętych brzegów. Brzegi te mają wygląd dla oka myśliwskiego nadzwyczaj malowniczy i pełen tajemniczego uroku. Przed wojną do wsi Ozierany można się było dostać tylko łódką, lub przeprawić na promie przez Stwigę. Obecnie łączy tę wioskę głuchą i dziką, jak jej mieszkańcy, grobla usypana przez władze rosyjskie, prowadząca wzdłuż rzeki Prypeci od miasteczka Dawigródka, aż do Mozyrza.

Mając wiele chwil wolnych od zajęć służbowych, chodziłem do starego Lisicy na pogawędki. Trudno było określić w jakim jest wieku Lisica, a on sam też nie wiedział kiedy się rodził. Liczyli mu jego sąsiedzi i krewni do 60 lat, lecz wyglądał na 40. Cerę miał czerstwą i ani jednego siwego włosa. Włosy spadały mu w strąkach na ramiona i nie były czesane zapewne od dnia jego ślubu z Tatjaną, także zdrową i czerstwą. Broda jego była również zawsze potarganą i można w niej było zobaczyć szpilki sosnowe, świerkowe, siano, a nieraz i liście. Twarz miał tak zarośniętą, że ledwie

mu było widać bystre i przenikliwe oczy, które wieczorem nabierały kociego blasku. Nieznał Lisica nigdy bólu zębów i miał je wszystkie zdrowe i białe, jak tygrys.

Lisica był myśliwym pierwszorzędnym, ale strzelcem marnym, jak zwykle wszyscy polescy kłusownicy, gdyż znakomicie strzelał tylko do stojącej zwierzyny i trafiał kulą swojej roboty tam gdzie pragnął. Jeżeli chciał trafić zwierza w oko, ucho lub w komorę, to napewno trafił. W biegu nigdy Lisica do zwierzyny nie strzelał, bo nigdyby nie trafił nawet śrótem. Do samicy prowadzącej młode, również nigdy nie strzelał. Całe życie nosił tylko pojedynkę kapiszonówkę, kowalskiej roboty, która biła jak sztucer. Kule sam sobie odlewał. Pod zwierzynę zwykle się podkradał, pełzając na brzuchu jak kot, nieraz na 10 kroków od łosia. Wzrostu był średniego, suchy, troszkę przywiędnięty, ubrany zimą i latem w owczą szarą czapkę i takiż kożuch swojej roboty, w którym trudno było by odróżnić jakiś kolor odmienny od tła przyrody. Lisica chodził zimą i latem w plecionych łykowych łapciach własnej roboty, nie zdejmując ich nieraz całemi tygodniami. Buty, jak sam mi to mówił, miał tylko raz w życiu, idąc w nich ze swoją babą Tatjaną do ślubu, a na drugi dzień zaraz je zdjął, powiesiwszy w izbie na ścianie koło obrazów, bo były dla niego za ciężkie i odtąd ich nigdy nie nosił, oddawszy je po dwudziestu latach synowi idącemu do wojska. W domu Lisica nocował tylko z Soboty na Niedzielę, a w inne dni zwykle był w lesie, nocując z psem kundlem, obrośniętym i półdzikim jak jego pan, w stogach siana, a zimową porą w kureniach (szałasach zbudowanych z bali osinowych, obsypanych do czubka ziemią i mających w środku palenisko) pozostawionych po puszczy przez robotników leśnych, pracujących przy wyrąbywaniu starodrzewu zakupionego przez kupców leśnych żydów. Posiadając kilka dziesięcin roli, Lisica nigdy się gospodarstwem nie zajmował, gdyż wszelkie roboty na roli wykonywała jego żona z dziećmi, a przed tem zajmował się jego ojciec do późnej starości z Tatjaną Lisichą. Jeżeli nie znał dobrze człowieka, Lisica był bardzo nierozmownym, skrytym, niedowierzającym i nadzwyczaj ostrożnym w rozmowach tyczących lasu, kniej pełnych różnego zwierza i polowania. Na natarczywe pytania ze strony nieostrożnych w rozmowie młodych myśliwych, odpowiadał Lisica, że od kilku lat nie widział nic w lesie, oprócz błotnego ptactwa, które strzelał tylko siedzące. O niczem innem nie można było z Lisicą rozmawiać, gdyż po za las i polowanie pojęcia jego nie sięgały i nic go więcej nie obchodziło.

Lisica nigdy nie zachodził do sąsiednich wiosek, bo nie miał z nikim żadnych interesów, chyba tylko wtedy, aby sprzedać żydowi skórę z upolowanej zwierzyny, z czego zwykle połowę pieniędzy, a nieraz wszystkie, zaraz u tego żyda przepijał, mając słabość w żołądku do wódki i będąc przy takiej libacji zawsze przez żyda nikczemnie oszukanym. Miasta Lisica nigdy nie widział i nic go ono nie obchodziło, słyszał tylko opowiadania o miastach od tych, którzy wracali do wsi z wojska. O kolei żelaznej i samochodach Lisica słuchać nie chciał i nie lubił, mówiąc iż to jest jakaś nieczysta siła, na wspomnienie której zwykle zdejmował czapkę, żegnając się trzy razy, obróciwszy się do wschodu słońca.

Terenem polowań Lisicy była połowa Turowskiej i Tonieżskiej puszczy, na obszarze około 20.000—30.000 dziesięcin w jednej i drugiej, gdzie inny kłusownik nigdy nie zajrzał bojąc się Lisicy jak ognia, pomimo jego łagodnego charakteru. Teren swojego polowania Lisica znał tak dobrze, jak żyd własną kieszeń. W najciemniejszą noc, podczas strasznej burzy, wychodził z lasu tam gdzie sobie uplanował, nigdy nie błądząc.

Wszelkie usiłowania złapania Lisicy w lesie na kłusownictwie i ukarania go za to, spełzały zwykle na niczem, gdyż nawet z gęstej obławy urządzonej specjalnie na niego, przy pomocy straży leśnej, konnej i pieszej policji, umiał się zawsze w porę wysunąć z matni, nieraz pełzając godzinami w trawie i po błocie. Broni nigdy Lisica w domu nie trzymał, ukrywając ją w lesie w wyprochniałym pniu drzewa. Po daremnych wysiłkach złapania Lisicy w lesie, trzeba było się z losem pogodzić i starać się zjednać go sobie inaczej, zaprzyjaźniwszy się z nim, na czem wychodziło się o wiele lepiej, gdyż będąc z nim w przyjaźni, można było być pewnym, że nic pod bokiem ze zwierzyny nie zastrzeli, a będzie jej szukał na granicach swojego terenu polowania.

Lisica znał się na ludziach świetnie i nigdy nie dał się podejść podstępem. Skoro tylko zauważył nieszczerość i podstęp, stawał się skrytym, milczącym jak głaz i unikał spotkania, a łatwiej było spotkać się w kniei z rysiem, lub wilkiem, niż z Lisicą w jego wiosce. Zbliżył mnie z nim raz przypadek następujący.

Pewnego zimowego poranku w drugiej połowie grudnia, udałem się z gajowym Wasylem Juchniewiczem do lasu pieszo na zamarznięte błota, poszukać jakiegoś dzika do odstrzału. Oddaliwszy się od domu około dziesięciu kilometrów w głąb puszczy, zauważyliśmy stado dzików składające się z dziewięciu sztuk, w odległości 300—400 metrów, żerujące pod dębami. Mając ze sobą dubeltówkę dwunastkę nabitą kulami i ośmiostrzałowy browning

belgijski w kieszeni, stanąłem pod drzewem nad kanałem, w tym miejscu skąd było widać po śladach, że dziki tam się przeprawiały i tędy przeszły na żer, a gajowego Wasyla posłałem by je napędzał na mnie. W stadzie był jeden ogromny wieprz, dwie duże maciory i sześć dużych 1—1.5 centnarowych warchlaków. Kiedy dziki spostrzegły zachodzącego z tyłu Wasyla, zaczęły posuwać się wolnym krokiem wprost na mnie, aby przejść przez bród w kanale, przez który miały zamiar przeprawić się z powrotem. Podpuściwszy je na odległość czterdziestu metrów strzeliłem do największego wieprza z jednej lufy, a do warchlaka z drugiej. Trafiły obydwie kule. Warchlak dostał w piersi pod gardło i został na miejscu, gdyż kula



Wśród śniegu. Zdjęcie dr. Malsburga.

przeszyła go na wylot do ogona, rwąc w nim wnętrzości w strzępy. Odyniec dostał w ryj powyżej nozdrzy i padł jak kosą podcięty. Reszta dzików uciekła w popłochu. Widząc obydwa dziki leżące nieruchomo sądziłem, że strzały były śmiertelne. Odsunąwszy się od drzewa pod którym stałem nie założywszy naboi, począłem wołać Wasyla, aby przyszedł oglądać zabite dziki, lecz niestety tryumf mój był zbyt wczesny, czego potem żałowałem. Wieprz, który był tylko ogłuszony i narazie zdrętwiał z bólu od rany nad gwizdem przeciętej jakby siekierą, usłyszawszy mój głos, zerwał się, usiadł na zadzie, a rozejrzawszy się dobrze, z całą swą straszną siłą w bólu i wściekłości, puścił się w moim kierunku. Odległość pomiędzy mną i dzikiem była tak niewielką, iż potrzeba było wiele zimnej krwi szybkiej orjentacji, aby nie być powalonym i rozszarpanym przez niego. Widząc grożące mi niebezpieczeństwo, puściłem się do pędzącego na mnie dzika na spotkanie i w chwili kiedy mieliśmy się zetknąć, odskoczyłem w lewo z całej siły, a dzik z rozpędu po zamarzniętej powierzchni błota miejscami pokrytego gołym lodem, przeleciał koło mnie nieomal ocierając się o mnie swoim strasznym cielskiem i niemogąc się z rozpędu nagle zatrzymać, zatoczył dosyć duże koło, chcąc do mnie wrócić. Skorzystawszy z tej chwili skoczyłem za najbliższe drzewo dobywając browning. Dzik narazie stracił mnie z oczu i na chwilę zatrzymał się, szukając mnie wzrokiem. W tym momencie w odległości trzydziestu kroków rozległ się strzał i dzik śmiertelnie ugodzony padł martwy z rozbitą głową. Celna kula Lisicy, ukrytego za drzewem i od początku śledzącego cały przebieg powyższego zdarzenia, trafiła dzika w ucho, rozbijając mu głowę jak stary garnek.

W ten sposób nie spodziewając się znikąd ratunku, ocalałem od kalectwa, a może i od śmierci będąc uratowany przez starego Lisicę, który potem został moim najlepszym przyjacielem, towarzyszem wspólnych polowań i dobrym przewodnikiem po całej puszczy, pokazując mi takie knieje pełne zwierzyny różnej, jakich już zapewne nigdy nie zobaczę.

Muszę nadmienić, iż gajowy Wasyl chłop młody, wielki i silny jak dąb, widząc grożące niebezpieczeństwo, a obawiając się, aby dzik załatwiwszy się ze mną, nie wziął się za jego garderobę i skórę, odrzucił od siebie swoją nabitą kulami dubeltówkę i wlazł w mgnieniu oka na drzewo, zkąd nie chciał

wcale zejść nawet po dobiciu dzika przez Lisicę i wołaniu go przez nas. Dopiero zobaczywszy mnie siedzącego z Lisicą na zabitym dziku, wyjmującego z torby butelkę z wódką i częstującego Lisicę, a znając słabość Lisicy do wódki, z obawy aby ten ostatni wszystkiej nie wypił, zeskoczył czemprędzej z drzewa, podbiegając do Lisicy ze słowami „Ostaw dzidu myni troszki chorylki".

Po wypiciu wódki przez obydwuch poleszuków, którzy sobie wydzierali butelkę, bojąc się aby jeden od drugiego nie wypił mniej i po ochłonięciu z przeżytych wrażeń, wysłałem Wasyla do wsi po konia z saniami, aby odwieźć zabite dziki do domu. Długo błądził Wasyl po lesie, bo mu wódka w głowie zakręciła, zanim doszedł do wsi. Zawezwawszy z koniem i saniami syna Lisicy Andrzeja, przyjechał Wasyl do nas, oczekujących go w lesie, dopiero na godzinę 10 wieczorem. Czekając na Wasyla od godziny pierwszej w południe przy zabitych dzikach, miałem możność zapoznania się i zaprzyjaźnienia z Lisicą, któremu po wypiciu blisko pół litra wódki, rozwiązał się język na dobre, gdyż zrobił się bardzo rozmownym, zrzuciwszy z siebie całą swoją skrytość i brak zaufania do obcych ludzi. Spędziwszy z Lisicą te kilka godzin sam na sam w lesie, nasłuchałem się dużo ciekawych opowiadań o życiu zwierząt i ich obyczajach, jak również o leśnem życiu Lisicy.

Podczas naszego oczekiwania i rozmowy, rozłożył Lisica ogromne ognisko, zasilane przez niego zmurszałą na błotach brzeziną, poczuliśmy głód, gdyż Lisicy zapasy skończyły się tego dnia rano, a w domu nie był od czterech dni. Moje zapasy były bardzo skromne składające się z kawałka chleba z wędliną zjedzonego jeszcze przed południem. Czując coraz dotkliwszy głód, a mając przy sobie tylko trochę soli, zaczął Lisica krzątać się około przyrządzenia wieczerzy. Najpierw nakarmił Lisica swojego psa Czarika, wykroiwszy dzicze jądra.

Później zdarłszy warchlakowi skórę z przedniej łopatki, wykrajał potężny połeć mięsa z przedniej szynki i pokrajawszy go na cztery kawałki, nałożył je na jałowcowy długi kij, który nosił ze sobą cały opalony. Posoliwszy mięso zaczął je nad ogniem przypiekać. Przy takim smażeniu dużo tłuszczu wyciekło z mięsa na ogień, ale po dwudziestu minutach smażenia, mięso było dobrze upieczone i zdatne do jedzenia. Nie pamiętam aby mi kiedyś w życiu smakowała jakaś potrawa tak, jak mi smakowała kolacja przygotowana przez Lisicę. Mięso pożeraliśmy bez chleba z wilczym apetytem.

Kiedy Wasyl z Andrzejem przyjechali do nas, byliśmy najedzeni i zajęci dalszą rozmową o łowach. Powrót do domu obył się bez przygód ważniejszych, raz tylko Wasyl zarwał się na oparzelisku, przemoczywszy nogi wyżej kolan.

Od tego czasu często spotykałem się z Lisicą w umówionych miejscach i spędzałem z nim nietylko całe dnie, ale i noce, nocując w jego leśnych kryjówkach. Lisica nie miał przedemną żadnych tajemnic, był rozmownym, nawet dosyć miłym, gdyż miał szczerą i prawdziwą naturę wychowanka puszczy.

Miał Lisica jedną tylko wadę ogólno ruską: lubił wypić i przy każdem spotkaniu musiałem mieć dla niego wódkę chociażby nawet w niewielkiej ilości. Kiedy podczas pierwszych lat wojny trudno było dostać wódki, to musiałem sprowadzać dla Lisicy denaturowany spirytus, który pił szklanką.

Przyjaźń z Lisicą trwała kilka lat aż do 1918 roku. Rozstaliśmy się ze sobą z wielkim żalem, gdyż z rozporządzenia władz bolszewickich, rozkazem inspektora lasów z Mozyrza, zostałem odkomenderowany do majątku Ostrożanka byłej własności hr. Tyszkiewicza, celem urządzenia jego prywatnego leśnictwa na wzór państwowych. Stamtąd po zajęciu miejscowości przez polskie wojska, wyjechałem do Pińskiego Nadleśnictwa, a w lipcu 1920 roku uchodząc przed bolszewikami przyjechałem do Bydgoszczy, gdzie zostałem przyjęty przez Bydgoską Dyrekcję Lasów Państwowych na leśniczego do najpiękniejszego w okolicy leśnictwa Zacisze, położonego w malowniczej miejscowości, gdzie towarzystwo kłusownika Lisicy byłoby zbyteczne. Wypłoszyłaby go stąd zresztą linja kolejowa widok której zawsze napełniał Lisicę zabobonnym strachem.

Edward Przedpełski
leśniczy.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY.

Wspomnienie pośmiertne o ś. p. Hieronimie Kieniewiczu.

Jeszcze raz karta życia jednego wielkiego i szlachetnego serca ludzkiego bezpowrotnie się przewróciła!... epoka cała pewnego okresu, w mroki przeszłości na wieki odeszła!

Miły mój Boże! Ileż to razy słowa Bryniów Dereszewicze, magiczny dreszcz oczekiwania rozkoszy w duszach myśliwskich budziły!

Pamiętam, przed dwudziestu kilku laty mój

pierwszy do Bryniowa przyjazd! Korzystając z zaproszenia i ujmującej gościnności pp. Hieronimostwa Kieniewiczów—po paru dniach tam mego pobytu, opuściłem miłe tereny Jamickie, jak zawsze, ze szczerą wdzięcznością w sercu dla właściciela pana Dominika Dowgiałły i przybyłem do dworu Bryniowskiego na kałamaszce leśnika Henryka!

Jechać wypadło, dla skrócenia drogi, po polesku mówiąc „na pramiki" — przez rojsty dzikie, przez brody pełne „korczów" i jam zdradzieckich! Bajecznych rozmiarów olchy i osiny, przeplatane u dołu łozą nieprzebytą, drzemały cicho na kilometrach bagien i mokradeł! Prawdziwy zaiste „matecznik" puszcz Mickiewiczowskich, o tajemniczych jeziorkach rdzawej wody, w których zda się po nocach czarownice i djabły trupy grzeszników warzą, orgje swe piekielne z legend germańskich do topielisk litewskich przenosząc! Oto i dwór i stara siedziba Bryniowska. Kałamaszka wysuwa się z mroków leśnych, ustaje męka podskoków nadzwyczajnych, — wjeżdżam w oazę stworzoną pracą gorliwą i wiedzą gruntowną, — miłością i przywiązaniem głębokiem do tej naszej świętej Matki— ziemi Ojczystej.

Nie znałem rezydencji, wywierającej wrażenie podobne do Bryniowskiej! Pola, których piędź każdą latami całemi—wodzie i korzeniom odwojowywać trzeba było, – a wszystko w wysokiej kulturze rolnej będące; zamaszyste i tęgie zabudowania gospodarskie; kolejki Dekowilskie do rozwożenia nawozów; spazmatyczny oddech motorów gorzelnianych, światła naftowo-żarowych lamp na majdanach dworskich! A Dwór Praojców, nasz ten poczciwy polski dwór, okrążony lamusami, na które nieraz brat kwestarz Michał Ławrykowicz (z pamiętników Ig. Chodźki), w swoich p rygrynacjach z lubością musiał spoglądać!

A ze Dworu płynęła na ludność okoliczną, na cały szmat kraju naszego, łagodność, prawdziwie chrześcijańskich uczuć Dziedziców!

Przeżywałem to wszystko i pisałem o tem przed całą ćwiercią wieku wstecz!

I oto nadleciał Duch Zła!—barbarja bezcelowego wandalizmu hord moskiewsko-żydowskich w gruzy połać kraju obróciła!

Wszyscyśmy na bruku miastowym znaleźli się bezdomni. W tej liczbie i ś. p. Hieronim Kieniewicz. Lecz Ahaswer piekielny niszcząc naszą Ojcowiznę, nie przewidywał przenigdy glorji Zmartwychwstania Ojczyzny! Obdarci ze wszystkich wspomnień dzieciństwa — nędzarze materjalni! — wyniesieniśmy zostali na sam szczyt marzeń pokoleń całych! Mieliśmy, mamy i mieć będziemy Polskę umiłowaną! Wobec tego — jak marnym są epizodem udręki osobiste każdego z nas! to też pod wpływem tego poczucia ś. p. zmarły tak tragicznie p. Hieronim pracował, pracował i jeszcze raz pracował!

Polować tylko już nie mógł! „il n'en avait pas le courage". Nastroju brakowało! Ileż to razy, zapytany w tej sprawie mawiał do mnie: „dopóki nie powrócę do swego Bryniowa, strzelby do ręki nie wezmę do polowania".

Serdecznie mi go żal było! Albowiem, jeśli pociecha jakaś być może w piekle warunków naszego życia kresowców z dziada pradziada na roli osiadłych i onej pozbawionych—to li tylko w matczynej pieszczocie Przyrody.

Pogoda ducha Zmarłego – stała się ongi niwą złotodajną, na której wyrosło niejedno z arcydzieł literatury naszej!

Przecież i tytanicznej mocy karty „Puszczy"— Mistrza Weyssenhoffa — i mistrzowskie „W sercu kniei" Zaborowskiego i z „Toków i ciągów Poleskich" dr. Stankiewicza oraz tylu i tylu innych autorów natchnione pisma powstawały w Bryniowie w wielkiem sercu gościnności staropolskiej.

Jeszcze ś. p. ojciec p. Hieronima Pan Starszy Marszałek, jak go zwykle zwano—założył tam ów kamień węgielny staropolskich cnót.

Kochałeś każdą grudkę tej ziemi naszej świętej—kochałeś lud ten ciemny, bestjalski, a pomimo wszystko tak nam bardzo drogi, tak bardzo kochany—bo On a młodość, a dziecinne lata każdego z nas—to całość cudna w mary czarowne lat wspólnie przebolałych rozkosznie odziana!

Kochałeś te puszcze — owe mszarniki i mokradła rozległe, na których dubelt przebywa — rozlewy wiosenne Prypeci i Ptyczy z kaczek mnogich chmarami — i gotyk pni leśnych królewską pieśnią głuszca rozśpiewany i cietrzewia bełkoty na wypaleniskach! i okiścią pokryte zimowe tajniki świerczyn — kędy odyniec, łoś brodaty, mocarz niedźwiedź, lis i ryś centkowany— chytrze wymyka. I te pola księżycowe w noce mroźne zimowe lub welonem gwiaździstym zaciemnione—ślepiami wilków gorejące! I bylinkę każdą – na tej ziemi Poleskiej urosłą!

Żegnaj na wieki, żegnaj nieodżałowanej ś. p. Hieronimie Kieniewiczu! – po życia ciernistej nieraz koronie! Osierociłeś nas, lecz korona Twojej anielskiej dobroci — z Cnót Praojców spiżowy splot wieczną Glorją ku chwale Imienia Twego, śród serc wdzięcznych żyć będzie!

Wiązankę skromną tych myśli moich, rzucam jako ziemi grudkę na grób Twój bolesny!

„W Twym zimnym, ciasnym grobie,
Niech się Poleś, stary Poleś, przyśni Tobie!"

Adam hr. Rzewuski.

Warszawa, 25 stycznia 1925.

OD ADMINISTRACJI

1) Zgodnie z zapowiedzią w Nr. 3-cim pisma naszego wysłaliśmy polecony dodatek książkowy na kw. I b. r. p. t. „Głuszec“, Bolesława Świętorzeckiego wszystkim Tym z pośród naszych prenumeratorów, którzy wpłacili całkowitą należność (7 zł.) za kw. I, tych zaś którzy jeszcze nie zapłacili całości 7 zł. na kw. I prosimy o szybkie przesłanie gotówki, po czem wysyłka nastąpi odwrotnie.

2) W Nr. 1-ym i 3-im b. r. Przeglądu Myśliwskiego prosiliśmy naszych czytelników o uregulowanie zaległości za rok 1924 oraz o wniesienie należności na rok 1925 kw. I przed 14 stycznia b. r. — Raz jeszcze prosimy zalegających w opłacie o zapłatę, a wówczas niezwłocznie wyślemy zaległe numery oraz książkowy dodatek „Głuszec“.

Administracja.

Wspomnienia żołnierza myśliwego.

W 1898 r. rozegrał się ostatni akt długich i krwawych walk w południowo-wschodnich kolonjach Afryki. Szlachetny i waleczny wódz Hottentotów, Hendrik Witbosis uległ przemocy niemieckiego najezdcy, bitni Hererosi rozbici ostatecznie, uszli w głąb kraju przed pościgiem wrogów, a ich zawzięci przywódcy Kahimema i Nikodems ujęci, ponieśli śmierć na szafocie. 11 Czerwca wyruszył z Okahandji zbrojny czworobok pruskiego żołdactwa, a w jego środku wysoki wóz z dwoma skazańcami i wolnym krokiem, przy biciu w bębny, zbliżał się do miejsca swego przeznaczenia. Odważny Kahimema z dumnie wzniesionem czołem i pogardliwym dla swych katów wzrokiem, szedł twardym i pewnym krokiem do słupa, Nikodemsa złamanego, drżącego z osłupiałym wzrokiem i bladym obliczem postawiono pod drzewem. Oficer odczytał donośnym głosem akt oskarżenia i ogłosił wyrok, ciszą grobową wstrząsnął ostry głos komendy „ognia“, padły dwie salwy i dwa bezwładne ciała osunęły się na ziemię. Odtąd niemcy stali się wyłącznymi posiadaczami i władcami pięknych, obszernych, a bogatych kolonji połudn.-wschodnich, od Omaruru do południowego Gibeonu i od zatoki Swakopmundu do dalekiej pustyni Kalaharskiej na wschodzie. Wojska na czas zasłużonego wypoczynku rozlokowano po całym kraju i na pograniczach jego, a memu oddziałowi wyznaczono najgłębiej na wschód wysuniętą placówkę X. W 20 koni, z spożywieniem i amunicją ładowne wozy, każdy w 48 wołów zaprzężony, z masą trzód, woźniców i poganiaczy i dwoma tuzinami psów wyruszyłem z głównego miasta „Windhuk" na miejsce nowego mego przeznaczenia. Droga wiodła przez Biały i Czarny Nossab, dalej przez Gobabis ku Kalaharskiej pustyni. Szliśmy początkowo przez rozległe płaszczyzny, zwartą dżunglą i wysoką trawą pokryte, natrafiliśmy na dość częte zbiorowiska wód, gdzie wygodne i dłuższe robiliśmy biwaki, pełno tu wszędzie pentarek, jak nie mniej dość często natrafiamy na gromadki płochliwych gazelli, z których niekiedy udaje się nam zdobyć jaką sztukę, zasilając jej świeżem mięsem naszą kuchnię. Szczególniej byłem zdumiony tą obfitością pentarek, na jaką między białym, a czarnym Nossabem natrafiłem i idąc przed obozem dni kilka zabawiałem się ich strzelaniem. — Po przejściu suchego w tej porze roku łożyska białego Nossabu, wchodzimy w kraj falisty, piaszczystemi wzgórzami najeżony, przejście których wiele czasu, a więcej jeszcze trudu i wysiłku nas kosztowało. Zaczynamy coraz częściej odczuwać brak wody w tej bezpłodnej okolicy — musimy poić nasze konie i trzody w cuchnących kałużach, gdzie gnijące w nich robactwo zatruwa powietrze. Niekiedy sami pić musimy wstrętną i smrodliwą wodę. Na dziesiąty dzień naszej podróży zamajaczyły przed nami wysokie góry, ciągnące się długiem pasmem z północy ku południowi i zagradzające nam dalszą drogę. O zmroku stanęliśmy u podnóża prostopadłej ściany wysokiej, pięć dni kilofem i oskardem torujemy sobie drogę w jej wąskich rozpadlinach krętych, a głębokich, zanim dosięgamy jej szczytu. Muszę tu wspomnieć o tej masie przebrzydłych skorpionów (scorpio afer), jaką tu widziałem. Dość jest podnieść kamień, lub odłam skały, by z pod niego wyskoczył rój tych szkodliwych potworów i z podniesionym nad łbem

jadowitym swym ogonem starał się zadać bolesne ukłócia. Upatrzonej ofierze skorpjon zadaje kilka szybkich cięć swym ogonem, chwyta ją swemi ostremi szczypcami i dobija ukąszeniem. Potwory te, do 15 ctm. długości dochodzące, rozpładzają się z niepojętą szybkością, samica rodzi tych dziwolągów do 50 sztuk i nie mniej od gadzin są plagą tych stron gorących. Przed każdem rozbiciem obozu, każdym odpoczynkiem, przeszukujemy najmniejszy kamień, szczelinę skały, lub krzew, by móc zasnąć spokojnie. Wszelkiego gadu pełzającego jest obfitość straszna. Na jednym z noclegów w tej stronie ordynans, podnosząc moje siodło, na którem spałem, znalazł drzemiącą pod niem jedną z najstraszniejszzch żmij „cobrę capellę" ukąszenie

W błękicie dalekiego zaś horyzontu łańcuch gór strzępiastych o złotawych czubach, różowych wierzchołkach, ciemnych rozpadlinach, krętych wąwozach i szerokich dolinach. Przed nami, na naszej drodze, jak oko sięgnąć zdoła, szaro-żółta równina, pokryta kopcami termitów, jak żałobne grobowce wśród niej sterczących. Gdzieniegdzie tylko kępa drzew karłowatych urozmaica tę jednostajność pustyni. Żaden głos nie zamąca tu martwej ciszy, tylko grupa małp biega na pobrzeżu jeziora bawiąc się wesoło.

W długiej przez te stepy podróży towarzyszy nam gromada sępów (vultur monachus i gyps fulvus) kołujące nad naszemi głowami w błękicie przestworzy. Niekiedy stadko gazelli wyłoni się



Zima. Zdjęcie dr. Malsburga.

której jest śmiertelne. Przytomny chłopak cięciem pałasza uchronił mnie i siebie od niechybnej śmierci.

Ranek szóstego dnia przeprawy górskiej, nagrodził nas, za nasze trudy i za niebezpieczeństwa przebyte, pięknym widokiem odsłaniającego się dalekiego krajobrazu. Jak zastygły olbrzymi wodospad szerokiemi tarasami kamienisto-żółtemi zbiega szerokie płaskowzgórze ku dolinie, w której tęczowemi blaskami lśniło rozigrane w blasku wschodzącego słońca ogromne jezioro, obramowane zielenią w malowniczych grupach rozrzuconych palm sześciolistnych i drzew wachlarzowych.

Z każdej rozpadliny ogromnego tarasu strzelają wysoko ku niebu olbrzymie kaktusy kolczaste o wspaniałem kwieciu purpurowem, o przeróżnych odcieniach barw zielonych, wspaniałe aloesy, całe bukiety o żywych kolorach kwiecia bezwonnego.

z traw wysokich, przebiegnie gromadka antylop, lub z głośnym wrzaskiem zerwie się stado pentarek.

Dwudziesty dzień naszego marszu. Przecina nam drogę głęboki parów wyschniętej rzeki, stanowiący zapewne w czasie deszczowym rwący potok. W jednym z jej zakrętów głębokich natrafiamy na większy zbiornik wody, otoczony wzgórzem i tu obieramy dogodne miejsce na dłuższy wypoczynek. Lecz nie danem mi było zażyć tu pożądanego spokoju i wywczasu, gdyż już dnia następnego o bardzo wczesnej porze straszny zgiełk i wrzawa około źródła zakłóciły nasz spokój i postawiły cały obóz na równe nogi. W jednej zaledwie bieliźnie, ze sztucerem w prawej, a ładownicą w lewej ręce, o ile na to pozwalały kolące krzewy na naszej drodze, spieszyłem z kilku strzelcami na ratunek naszym psom zaciekle ujadającym. Gdym w kilka

minut stanął na szczycie otaczającego wodozbiór pagórka, przedstawił się oczom moim jedyny w swym rodzaju widok. Nad przeciwległym brzegiem źródła grupa, z kilkunastu wielkich małp złożona, otaczała zwartym kręgiem wielkiego lamparta, duszącego wrzeszczącą przeraźliwie małpę. Małpy coraz wścieklejsze z furją straszną osypywały gradem kamieni rabusia, odpierającego ich ataki jedną łapą, drugą zaś duszącego gardło swej ofiary. W walkę wmieszały się nasze kundysy — rwały i szarpały zwierza pospołu z szympansami, które po rozszarpaniu w strzępy rabusia, z całą wściekłością zwróciły się ku nim, a co więcej jeszcze, zdradzały chęć rzucenia się na nas. Daliśmy salwę do nich, która ich wstrzymała w biegu ku nam i zmusiła do odwrotu. Kilka małp legło trupem, ranne psy dogryzły, a reszta zbiegła w góry, skąd gradem kamieni nas żegnała czas dłuższy. Sześć psów najlepszych straciliśmy w tej walce z małpami.

Na czterdziesty dzień po wymarszu z Windhuk stajemy wreszcie u celu naszej wędrówki, dosięgamy brzegów Epukiro (Otyombindi), rzeki rozgradzającej b. kolonje niemieckie od posiadłości sąsiednich angielskich Mafekingu.

Spiesznie rozbijamy obóz nad wysokim tej rzeki brzegiem i bierzemy się do wzniesienia warowni. W niespełna 4 tygodnie na wyniosłem wzgórzu, nad okolicą panującem, stanęła kamienna forteczka, wysokim murem otoczona, mogąca nas nie tylko bronić od niespodziewanych napadów wojowniczych plemion sąsiednich krain, lecz i zabezpieczyć nasze trzody od drapieżnego zwierza. Do budowy użyłem z angielskich kolonji najętych Hererosów, Beeruanów i Buszmenów. O Hererosach mogę tylko nadmienić, iż podobnie kształtnych, a wyrosłych mężczyzn nie spotykałem nigdzie i mój strzelec Urban, mający 1 metr 89 ct. wysokości czuł się karłem wobec 2$^1/_4$ mtr. Herero. Zajmują oni pierwsze miejsce po Hottentotach, są silni, odważni i pracowici. Kontrastem ich są Buszmeni, plemię wzgardzone powszechnie. Wiele słyszałem o tym dzikim szczepie czarnym, lecz nie mogłem mieć nawet pojęcia, by między Buszmenem a zwierzem tak mała mogła istnieć różnica. Buszmen nie buduje chaty ni nawet szałasów, żyje w ziemnej norze, lub skalnej jaskini, a śpi pod gołem niebem, tak dobrze pod palącemi promieniami słońca podzwrotnikowego, jak na ulewnym deszczu lub nocnym chłodzie 7^0 poniżej zera. Za całą odzież służy mu szmat skóry przez biodro przewieszony, a za jedyny sprzęt domowy, skorupka strusiego jaja. Żyje z polowania i łupu do czego używa zatrutych strzał i długich dzid, o misternie ręcznie wytoczonych ostrzach ze słoniowej kości. Żywi się roślinami, korzeniami, owocami i upolowanem mięsem, nie gardzi padliną, a najpożądańszym przysmakiem jego jest ciepła płynna zawartość żołądka zabitego zwierzęcia, którą chciwie wypija. Staczają nieraz o nią krwawe bójki — ojciec z synem, córka z matką. Są namiętnymi palaczami od starca do niemowlęcia, upajają się smrodliwym dymem jakiejś rośliny, pobudzającym ich do gwałtownych torsji rwących im wnętrzności, poczem czas długi leżą w odrętwieniu i niemocy. — Są chytrzy, leniwi, niedowierzający i podejrzliwi, a brudni nad wyraz. Jak wszędzie, tak i tu znaleźć można wyjątki i przez długi czas mego tu pobytu korzystałem z ich usług i doświadczenia myśliwskieego, a przedewszystkiem z ich bystrego wzroku, mogącego przebić największe ciemności nocne i najdalsze przestrzenie ogarnąć.

W warunkach obecnego naszego życia koń i pies odgrywać miały ważną rolę, miały się stać nieodłącznymi naszymi towarzyszami, dzielącymi z nami złą i dobrą dolę. Więc też niech mi wolno będzie słów parę o tych naszych przyjaciołach nadmienić. Ktoś wyraził się o południowym psie afrykańskim, że jest on mieszaniną „dzikiego psa z hyeną, małpą, lampartem i świnią“ ponieważ posiada wiele wspólnych cech z niemi: brzydotę, chytrość, wytrwałość, przebiegłość i niechlujstwo straszne. Jest jednem z najbrzydszych stworzeń tego kraju, w którem nikt rasy dopatrzeć się nie może, lecz jak wiele rzeczy w tym kraju, kryje w sobie wiele niespodzianek, tak też i ten pies pod swą kudłatą i szorstką wierzchnią skorupą posiada wiele pięknych zalet i przymiotów cennych. Nadzwyczajna siła i wytrwałość na głód, pragnienie, gorąco i chłód, węch i wzrok są główną jego zaletą W Afryce nikt psa nie karmi, ni o jego byt się nie troszczy, pozostawiony sobie, sam własnym przemysłem żyć musi, co zapewne w nim wyrobiło powyższe zalety. Niejednokrotnie pytałem, za co to stworzenie przywiązuje się do ludzi, strzegąc ich życia i dobra, bo gdyby nie pies, bez wytchnienia strzegący dniem i nocą zagrody, bydła lub obozu, człowiek nie miałby chwili spokoju i hodowla domowych stworzeń nie mogłaby się rozwijać swobodnie. Zdaje mi się nawet, iż gdyby nie pies, życie ludzkie narażone byłoby na ciągłe i poważne niebezpieczeństwa. Ileż to razy czujność tych zwierząt uratowała życie ludzkie!

Protoplastą dzisiejszego konia połud-Afrykańskiego był anglo-arab w 1835 r. do Kapskich kolonji sprowadzany. Wskutek zaniedbanej w czasie długich wojen hodowli — koń ten zdziczał i wiele cech swego pochodzenia dziś zatracił, zyskał jednak na sile, wytrwałości, a długi okres swobodnego dzikiego życia stepowego przysposobił go do warunków gorącego klimatu i walki o istnienie.

Nasze kawaleryjskie konie europejskie nie odpowiadały tutejszym warunkom, zastąpiliśmy je tą miejscową rasą, która okazała się idealną dla naszych potrzeb. Trudno tylko było nam przywyknąć początkowo do ich gwałtownych, a niespodziewanych skoków i bocznych rzucań przy unikaniu kolących krzewów dżungli i nie jeden nawet doskonały kawalerzysta wylatał z siodła jak marny nowicjusz. Męczył nas nie mniej kołyszący chód tych szłapaków i skrocz, lecz nawykliśmy szybko do niego i często robiliśmy forsowne przemarsze 100 kilometrowe w ciągu dnia jednego, a wiele razy po 360 klm. w ciągu trzech dni. Ujeżdżonemu koniowi dość jest położyć dłoń na karku, by w największym pędzie stanął jak wkopany w ziemię, lub zarzucić cugle na szyje, by długie godziny oczekiwał spokojnie na swego jeźdźca. Nikt obcy do takiego konia nie może się zbliżyć bez narażenia się na ukąszenie jego lub stratowanie. Tylko do zaprzęgu jest niezdatny i podlega wielu zaraźliwym chorobom, wyniszczającym całe tabuny w kilka dni.

(d. c. n.)

Władysław Czerniejewski.



JESZCZE O MIDLANDZIE.

W ciągu 38 lat swojej wiernej służby św. Hubertowi, przeszło przez ręce moje wiele rzeczywiście doskonałej broni, miałem bowiem prawdziwą pasję do nabywania piękniejszych okazów, z czego się nieraz wytwarzały całe kolekcje, póki przyjaciele, siostrzeńcy, a wreszcie i zacni koledzy-myśliwi w ten, czy w inny sposób szeregów takowych dotkliwie nie przerzedzili...

Miałem to szczęście, że mogłem nabyć broń u źródła jej fabrykacji, zwiedzadzając drobiazgowo w czasie mej wędrówki artystycznej wszystkie znaczniejsze fabryki broni do hiszpańskich, włoskich i północnoamerykańskich (Parcker, Winchester etc.) włącznie. Nie byłem tylko w Szwecji, i w fabryce Midland, gdyż przed wojną prawie wcale o niej nie mówiono, więc w Anglji zwiedziłem tylko główniejsze firmy i mego Purdey'a, który mi służył do 1922 r. nabyłem na miejscu po należytem wypróbowaniu. Zasady osobistej próby z ładunkami gotowymi i przeze mnie robionymi na poczekaniu z różnymi gatunkami prochu i numerami śrutu, — trzymałem się zawsze. Dlatego w 1901 roku wybrałem skromną dwunastkę Sauera z trzydziestu kilku bardzo wykwintnych, bo właśnie ta jedna przewyższała pokryciem i ostrością bicia wszystkie, jakie mi tam ofiarowywano.

Otóż mając opinję znawcy i zapalonego amatora, proszony byłem wciąż o wskazówki, dobieranie ładunków, oraz wypróbowanie setek najrozmaitszych strzelb teoretycznie (t. j. do celu) i praktycznie — w polu, lub kniei.

Przyznam się jednak, że ani Purdey, ani owa wspomniana fenomenalna saureówka, ani przepyszna gołębiarka (typ Monte Carlo) Parcker'a, ani kilka wyborowych szesnastek do Lebeau włącznie, nie dało nawet w przybliżeniu tych rezultatów, co Midland, według wzmianki gen. Macewicza. Jeżeli kroki były mierzone, to fakt taki będzie formalnym przewrotem w myśliwstwie, no i w produkcji broni. Jedno tylko mnie zastanawia:

Ubiegłego lata miałem możność wypróbowania i wielokrotnego polowania z jedną z takich dubeltówek, zapłaconą 1000 zł. Rezultaty były doskonałe, ale ani trochę nie lepsze od innych wysokiego gatunku broni; przytem broń ta nie imponuje ani składnością, ani wykończeniem zgoła powojennem, więc do Lebeau,—dawniejszych szczególnie,—a zbliżonych według mnie do ideału broni myśliwskiej—równać się nie może. Chodzi więc oto, czy dubeltówka, o której mówię, była wyjątkowo słabszą od innych, czy też dubeltówka gen. Macewicza była fenomenem w swoim rodzaju. *T. Leliwa.*



Uwagi starego śledziennika.

Motto: „Znacie tę bajeczkę?...
... Znamy...
A więc posłuchajcie“...
Fredro: P. Jowialski.

Co raz częściej spotyka się obecnie zapytania, gdzieby można dostać żywe zające celem rozmnoży i zasilenia ich słabego stanu, gdyż sprowadzanie z zagranicy od Gudery z Wiednia lub od Horacka z Czech—jak to to bywało przed wojną—obecnie jest drogie, utrudnione i prawie niemożliwe.

Dam na to radę i podam sposób znacznie tańszy i łatwiejszy a w rezultacie praktyczniejszy i radykalniejszy.

...„A więc posłuchajcie“:...

1) Nie polujcie nigdy „na pomyka“ czyli „na podchodnego“, gdyż zając, który twardo dosiaduje w kopnie (w kotlinie) i łatwo z bliska podejść się daje — to samica.
2) Nie polujcie „z zasiadki“, gdyż zając, który wcześnie z lasu na pole wychodzi — to samica.
3) Nie polujcie na czarnej stopie w kniei na zająca, gdyż tam się kryją wtedy przeważnie same samice.
4) Nie strzelajcie do zajęcy, które przy końcu miotu z trudem i dopiero przy pomocy kijów naganki na linię strzelców wyprzeć się dają—gdyż to są samice.
5) Nie strzelajcie w zimie w nocy do zajęcy przy drogach, gdyż to są przeważnie mniej płoche samice, które łatwiej podjechać się dają.
6) Tępcie drapieżniki i prześladujcie szkodniki.
7) Nie polujcie z chartami i ogarami.
8) Nie bierzcie w pole nieposłusznych i goniących zające, wyżłów.

Jeśli tych reguł trzymać się będziecie — bez importu i kosztów, stan zajęcy wkrótce się podniesie.

H. M.

Zwierzostan borów Tucholskich.

Rozważając sprawy zwierzostanu lasów państwowych w Borach Tucholskich, należy mieć na uwadze warunki specyficzne borów. Goły bór sosnowy z podszyciem wrzosu i borówek, jaki tworzy większą część borów, nie daje dostatecznej karmy do wyżywienia większej ilości zwierzyny. Dlatego też zwierzostan, ani liczebnie, ani jakościowo nie może być porównywany z innemi łowiskami. Te warunki jak i okres lat 1918 do 1920, w którym zwierzynę tępiono podobnie jak w czasie rewolucji 1848 r., i obecne nieuregulowane stosunki łowieckie, powodują słaby zwierzostan. Najsilniejszy cios spotkał zwierzynę w latach 1918/20, w którym to czasie tępiła ją ludność, „grentzschutz“, opuszczający Pomorze niemiecki personel leśny, a częściowo także i polski personel leśny niestojący na odpowiednim etycznym stopniu łowieckim.

Rzut oka w przeszłość wykazuje, że uregulowane stosunki w łowiectwie od roku 1860 spowodowały, że zwierzostan w tutejszej okolicy pomimo tak znacznego wytępienia zwierzyny po 1848 roku, iż na ówczesnym obszarze łowieckim — około 30.000 ha — można było w roku 1853 odstrzelić jedynie 2 rogacze przewidziane etatem, osiągnął w latach 1910/14 swoje nieomal maximum. Odstrzał na terenie łowieckim tym samym, lecz

wynoszącym tylko około 6100 ha, wynosił w roku 1914:

1 jeleń,
5 danieli,
10 dzików,
50 sarn i rogaczy,
130 zajęcy.

W roku 1920 na całym tym obszarze łowieckim nie znajdowało się tyle zwierzyny, ile wynosił przedwojenny odstrzał roczny.

Obserwując jednak zwierzostan nieomal przez okres 5 lat przychodzi się do przekonania, że ten rozmnaża się choć powolnie, lecz stale. Obecny odstrzał na tym samym terenie na rok 1925 preliminowano na:

1 jelenia,
2 daniele,
3 dziki,
12 sarn i rogaczy,
75 zajęcy.

Odstrzał ten możnaby bez szkody dla zwierzostanu wykonać.

Jak z powyższego widoczne stan zwierzyny nie jest beznadziejnie zły i ilość obecna zwierzyny mogłaby wystarczyć do rozmnożenia jej do normalnych granic.

Jako środki prowadzące do podniesienia zwierzostanu w lasach państwowych Borów Tucholskich do normalnej ilości uważałbym:

1) Dzierżawienie przez Skarb Państwa prawa polowania na niepewnych terenach łowieckich graniczących bezpośrednio z lasami państwowemi.

2) Położenie większego nacisku na łowieckie wykształcenie personelu leśnego i zachęcanie go do intensywniejszego zajęcia się łowiectwem hodowlanem przez udzielanie premji, listów pochwalnych i t. p. za skuteczną działalność w tym kierunku, jakoteż za tępienie drapieżników oraz wykonywaną ochronę łowiecką.

3) Wpłynięcie na miarodajne czynniki o surowsze karanie przestępstw i przekroczeń łowieckich.

4) Zupełny zakaz wydawania zezwoleń na posiadanie broni myśliwskiej dla osób nie posiadających prawa polowania względnie karty łowieckiej.

5) Wydawanie kart łowieckich w mniejszej ilości i tylko osobom, które wykazałyby się odpowiedniemi kwalifikacjami.

6) Otwarcie kredytu na podniesienie zwierzostanu z przeznaczeniem tegoż na zakup zwierzyny dla odświeżenia krwi.

Powyższe środki łącznie z dotychczasowym sposobem administracji łowiectwa przez nadleśniczego, osobiście interesowanego w podniesieniu zwierzostanu, a kontrolowanego przez zwierzchnie władze, moim zdaniem wystarczyłyby do osiągnięcia zamierzonego celu t. j. podniesienia zwierzostanu do osiągalnego maximum. Dalszych środków polepszenia zwierzostanu, jak zakładanie lizawek, paśników, normowanie stosunku samic i samców i t. p., jako nie powodujących poważniejszych wydatków, które dotychczas ponosili nadleśniczowie, nie poruszam, jako łatwych do wykonania dotychczas stosowanemi metodami.

Ażeby skarbowi nie przysparzać wydatków na łowiectwo, proponowałbym na zdobycie funduszów na wydatki w punkcie 1 i 6 wymienione, sprzedawać prawo odstrzału pewnej części zwierzyny (jelenie, rogacze, dziki, głuszce) w porozumieniu z kierownikami odnośnych nadleśnictw, na korzyść Skarbu z przeznaczeniem wydatkowania osiągniętych sum na cele hodowlane w tych samych nadleśnictwach.

Jan Kurpiński.

Wyprawa myśliwska do Azji Mniejszej.

Wydział Wykonawczy Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich zawiadamia o organizowaniu się wyprawy myśliwskiej na dziki do Azji Mniejszej.

Stada dzicze dochodzą tam do kilku setek sztuk. Maciora 2 razy do roku rzuca młode w ilości 12—15. Turecki rząd daje pomoc wyprawie, gdyż miejscowa ludność dzików nie jada, a rozmnażając się są one plagą rolnictwa.

Odezwę w tej sprawie wydał prof. Jan Rostafiński oraz Wydział Wykonawczy Centrali Stow. Łow. (Nowy-Świat 35).

Zgłoszenia przyjmuje też redakcja naszego pisma.



JASTRZĄB-GOŁĘBIARZ.

Monografja myśliwsko-przyrodnicza.

W listopadzie ub. r. wyszedłem ze strzelbą do bliskiego rewiru, dzierżawionego przez Klub myśliwski w Rzeszowie, na kontrolę.

A było to przed wieczorem. Przechodząc obok kępy wyniosłych drzew, na t. zw. „Lisiej górze", spostrzegłem jastrzębia-gołębiarza, który zerwał się blisko przedemną z rozłożystego, w środku kępy stojącego drzewa, i usiadł nieco dalej. Nie strzeliłem do niego, gdy zleciał, bo nie byłem na strzał przygotowany.

Zacząłem go więc podchodzić, ale nie pozwolił zbliżyć się do siebie, a gdy mu podkradanie się moje dokuczyło, odleciał w niewiadomym kierunku.

Domyśliłem się, że rabuś obrał sobie tę grupę drzew na noclegi, a przypuszczając, że do niej później wróci, postanowiłem przyjść innym razem, aby na niego zapolować.

W dniu 27 listopada wybrałem się znowu na „Lisią górę" z zamiarem urządzenia na jastrzębia zasiadki. Tym razem chciałem ja czekać na niego. Ustawiłem się tedy w zakrytem miejscu, z którego jednak miałem dobry przegląd wszystkich drzew i czekałem z nabitą strzelbą, uspokoiwszy wprzódy swego Kinga, pięknego rasowego pointra. W lasku panowała absolutna cisza. Żadnego stworzenia, żadnego ptaka, nawet ciekawych i wszędobylskich sikorek nie było. Sąsiedztwo i obecność jastrzębia wypłoszyła snać wszystko, co żyło i ta właśnie okoliczność napełniała mię nadzieją, że się spotkamy. Byłem zresztą tego pewny...

Mijały długie chwile i poczęło się ściemniać. Już wrony i kawki wracały z pól na nocleg do miasta, już i sowy-płomykówki odzywać się zaczęły, a jastrząb nienadlatywał. Popatrzyłem, ostrożnie się poruszając, na zegarek. Dochodziło pół do piątej... Naraz zamajaczyło coś wielkiego wśród drzew. Nie leciał, ale płynął jastrząb szybko, równo i cicho do upatrzonej grubej gałęzi. Złożyłem się momentalnie i prowadziłem ptaka lufami. Zaledwie dotknął nogami konaru, strzeliłem. Trafiony śmiertelnie zachwiał się, wykonał ruch, jakby chciał dalej lecieć, przechylił się jednak na wznak i spadł ciężko na ziemię. Podniosłem go natychmiast. Był duży i ciężki. Oglądając go, zauważyłem, że mu brakowało jednego palca i że ma pełne wole. Preparator, któremu poleciłem swoje trofeum do wypchania, znalazł w wolu całą kuropatwę!... Radość moja z ubicia tego szkodnika nie miała granic.

Przed wojną trzymałem rasowe gołębie. W zimie karmiłem je z obawy przed jastrzębiem tylko raz na dzień, zwykle o godz. trzeciej po południu. Otwierałem wtedy drzwiczki w gołębniku, a gołębie wylatywały grupami na podwórze do karmy, najadłszy się zaś i popiwszy wodą, wracały natychmiast do swego mieszkania. Pewnego razu, a było to w połowie lutego, otworzyłem jak codziennie gołębnik. Zaledwie kilka z nich wyleciało, gdy ku memu zdziwieniu rozpierzchły się nagle przestraszone w różnych kierunkach, zamiast korzystać z zastawionego stołu na podwórzu. Jeden zawrócił do gołębnika, nie żenując się wcale moją osobą, inny schronił się do drewutni, inny wreszcie wleciał do piwnicy, a kilka wzbiło się w powietrze. Patrząc za szybującemi gołębiami, widzę, jak tuż nad domem, nizko nadlatuje gołębiarz. Spędza jednego gołębia, który nie świadom niebezpieczeństwa, został jeszcze na dachu, puszcza się za nim w pogoń, i okrążywszy ogród, dogania i nad domem chwyta w szpony. Ująwszy mocno ofiarę, opuszcza się w dół i siada na polu. Nie namyślając się wiele, przybiegam do pokoju, chwytam strzelbę, biorę ze sobą kilka naboi i z postanowieniem gonienia za rabusiem, choćby najdalej, wy-

chodzę. Za domem widzę go na śniegu; siedział nieruchomo na gołębiu. Spostrzegł mnie jednak zawczasu i wzleciał, ale razem z gołębiem, który pod brzuchem drapieżcy wyglądał, jak mała ptaszyna. Strzelić nie mogłem, gdyż nie zdążyłem włożyć naboju, zresztą nie przypuszczałem, że się tak prędko natknę na niego.

Przeleciał jakie 200 kroków dalej i usiadł w ogrodzie za wysokim parkanem. Poszedłem za nim, ale nie mogąc z powodu przeszkody w parkanie strzelić, obserwowałem zachowanie się jego przez szpary. Siedział przez chwilę bez ruchu,



Gołębiarz.

jakby się namyślał, co dalej czynić, upewniwszy się wreszcie, że mu nic nie zrobię, rozpoczął ucztę. Zaczął od głowy, urwawszy ją en rgicznem cięciem dzióba z szyi, następnie wziął się do skubania i wtedy już na mnie nie zważał. Wyszukałem mały otwór w parkanie tuż nad ziemią, położyłem się na niej, włożyłem weń koniec lufy i wziąwszy gołębiarza „na muszkę“, strzeliłem z odległości 60 kroków. Jastrząb został. Raniony w skrzydło, porzucił gołębia i począł uciekać na nogach. Dogoniony, stawiał opór, grożąc energicznie szponami. Dostałem go do rąk dopiero po narzuceniu nań futerka. Był to duży samiec. Gołąb był prawie oskubany; jego głowa, szyja i część piersi pogrążyły się już były w wolu gołębiarza. Gdy następnego dnia wyszedłem w pole na przechadzkę, znalazłem na śniegu w dwu miejscach pióra i krew po zjedzonych kuropatwach; prawdopodobnie ten sam osobnik był i tam sprawcą.

Ze względu na nieobliczalne wprost szkody, jakie gołębiarz wyrządza łowiectwu i gospodarstwu, podaję jego opis dokładny i niektóre ciekawsze daty z jego zbójeckiego żywota, które albo podczas praktyki łowieckiej sam zebrałem, obserwując go od bardzo dawna, albo od kogo innego o nich słyszałem. Twierdzę, że jest to szkodnik, którego żadną miarą w rewirze tolerować nie można i że go należy tępić wszelkiemi sposobami.

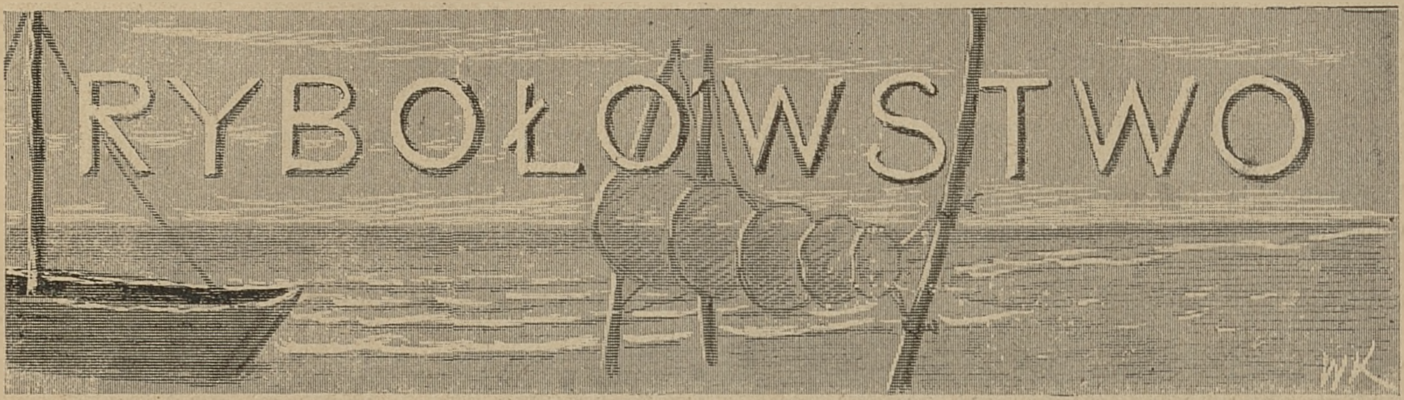
Jastrząb - gołębiarz, kuropatwiarz, kokosznik, astur palumbarius, gallinarum, accipiter astur, jest wielkim, silnym drapieżnikiem o długości ciała wraz z ogonem około 60 cm, a w sięgu skrzydeł do 1 m. dochodzący; na ogon przypada 24—28 cm. U starszych egzemplarzy głowa, grzbiet, barki, skrzydła i ogon z wierzchu jasno - popielate lub jasno-brunatne, ze słabym metalicznym połyskiem, nadto każde pióro na tych częściach ciała ma ciemniejsze żeberko i jaśniejszą obwódkę. Pod szyją, na piersiach i pod skrzydłami bywa upierzenie wogóle jaśniejsze, przeważnie jasno popielate, lub nawet białe w poprzeczne, brunatne prążki, jak u kukułki. Każde z tych piórek ma trzy do siedmiu prążków. Ze spodu w nasadzie ogona wyrastają mu długie, białe i puszyste pióra, podpierające ogon. Za oczami nosi ciemne bokobrody, czem przypomina wędrownego sokoła, nad okiem zaś widnieje jaśniejsza pręga. Wszystkie pióra mają sprężyste chorągiewki i gładko przylegają do ciała. Lotki są silne, nierównej długości, trzecia, czwarta i piąta z kraju są najdłuższe i sięgają do trzech czwartych długości sterówek, których jest dwanaście. Są one pod spodem rzadko-poprzecznie prążkowane, wszystkie jednakowo długie i zaokrąglone na końcach. Ciało jest zwięzłe, silne, a przytem smukłe. Głowa proporcjonalna, o czole i ciemieniu spłaszczonem. Dziób silny, długości 1½ cm., od nasady hakowato zgięty, barwy rogowej; dolna część dzióba nieco od górnej krótsza, na całej długości prosta, o krajach bardzo ostrych, o końcu wyraźnie lejkowatym. Wycięcia w górnej szczęce i wyrostka zębowego w dolnej nie widać. Paszcza szeroka, blado-czerwona z grubym, mięsistym językiem. Górna połowa dzióba, opatrzona u nasady ciemno-żółtą woskówką, w której się mieszczą dość duże owalne otwory nosowe. Oczy boczne, okrągłe, wielkie, z tęczówką pomarańczowo-żółtą, opatrzone dwiema powiekami; nad niemi wyrasta rogowy daszek, służący za ochronę oka, gdy jastrząb uderza na łup w krzakach. Kolorem tęczówki różni się

gołębiarz wybitnie od sokoła wędrownego, który ma oczy prawie czarne. Wyraz oczu gołębiarza jest straszny; przypomina spojrzenie tygrysa...

Ciało spoczywa na dwu wysokich, silnych nogach, upierzonych puszystemi piórkami po dolną połowę skoku, a okryte od pięty zeschłą, tarczkowatą skórą barwy brudno-żółtej; nogi mają po cztery palce, z których trzy zwrócone wprzód, a jeden w tył, opatrzone długiemi, bardzo ostremi szponami, szczególniej palec tylny; trzeci zewnętrzny jest przy nasadzie spięty błoną, inne palce są wolne; pod każdym z nich widzimy po dwie wyraźne poduszeczki. Rozwinięty gołębiarz waży 2 kg...

(D. c. n.).

Gürtler Władysław



METODY POLITYKI GOSPODARCZEJ W RYBACTWIE*).

Rybactwem nazywamy dziedzinę gospodarstwa społecznego, która ma za zadanie użytkowanie wód w zakresie hodowli organizmów pożytecznych, w szczególności ryb, celem uzyskania stąd produktów żywnościowych lub przemysłowych.

Zależnie od rodzaju wód odróżniamy następujące główne formy gospodarstwa rybnego: rybołówstwo śródlądowe — rzeczne i jeziorowe oraz hodowlę ryb stawową. Możemy oprócz tego zależnie od głównego objektu zabiegów gospodarczych mówić o hodowli karpia, sandacza, łososia i t. p.

Nauka o hodowli ryb w dzisiejszem zrozumieniu zasad hodowli i gospodarstwa jest dotąd niedostatecznie opanowaną dziedziną wiedzy; stąd też rybactwo jest najmniej zbadaną i znaną formą gospodarstwa, szczególnie rybołówstwo jeziorowe, rzeczne i morskie. Produkcja ryb w Polsce, najbardziej zależną jest właśnie od tych najmniej znanych gałęzi gospodarstwa rybnego.

W gospodarstwie rybnem, jak i w każdem innem należy odróżniać 3 główne momenty: a) pozyskanie i zrealizowanie użytków; b) zorganizowanie pracy i przedmiotów oraz c) zabezpieczenie trwałości pożytków. Nietylko racjonalna hodowla karpia w stawach, lecz również rybołówstwo łososiowe na morzu i w rzekach, jak też rybołówstwo sandaczowe, leszczowe lub inne w jeziorach mogą i winny być formą gospodarowania, czyli obok pozyskiwania pożytków t. j. wykonania połowów winny myśleć o dwu pozostałych najbardziej ważnych, ale jednocześnie niezmiernie trudnych stronach gospodarowania. Zaniechanie bowiem czynności zabezpieczenia pożytków na przyszłość lub nieracjonalne zorganizowanie czynności i przedmiotów w rybołówstwie przekształca czynności gospodarcze w formę rabunku i stopniowego niszczenia bogactw naturalnych, zaprzecza więc idei trwałego zaspokojenia potrzeby, która to idea leży w założeniu wszelkiego gospodarstwa.

Dzisiejszy stan powszechnego wyjałowienia wód naturalnych, nie wykluczając nawet morza i oceanów ma swój początek w zapoznawaniu przez człowieka tych założeń gospodarczych; zbyt długo uważano i dzisiaj przez wielu się uznaje bogactwa rybne, narówni z powietrzem i wodą, jako „dar Boży“, który się zmarnuje, o ile nie zostanie przez człowieka natychmiast i najszerzej zużyty. Tymczasem każdy teren wody w danych warunkach fizjograficznych może dać rocznie tylko określony przyrost mięsa ryb i wyżywić ograniczoną ilość potomstwa.

*) Idee przewodnie tego cennego artykułu stosować się mogą i do naszego łowiectwa. (Przyp. red.).

Stosowanie się przy pozyskiwaniu użytków do oczekiwanego i możliwego przyrostu jest podstawą czynności w gospodarstwie stawowem; zadanie to jednak staje się wysoce skomplikowanem gdy mamy do czynienia z jeziorem lub też wodą bieżącą, która się łączy z innemi w wielkie dorzecza, obejmujące całe państwo.

W tym wypadku spotykamy się z trudnościami dwuch kategorji. Nietylko jest zawczasu niemożliwem określić miej lub więcej dokładnie — ile można wyłowić ryb w danym roku bez szkody dla gospodarstwa w przyszłości, lub też iaką obsadę należy uskutecznić uzupełniając ewentualne braki naturalnego rozmnażania. Jeszcze bardziej musimy się liczyć z inną trudnością powstałą w ostatnich wiekach: rozdrobnieniem własności prawa rybołówstwa, a łącznie z tem wzrostem intensywności połowów, zupełnie niewspółmiernem ze zdolnością wytwórczą wód naturalnych. Wobec tych okoliczności na czoło zagadnień polityki gospodarczej w rybactwie wysuwa się sprawa tworzenia jednostek gospodarczych posiadających mniejszą lub większą samowystarczalność czyli kwestja organizacji czynności i samego przedmiotu w gospodarstwie rybnem, celem zabezpieczenia normalnych podstaw hodowli ryb. Zmusza to ustawodawców do zmodyfikowania pojęć prawa cywilnego co do nieograniczonej możności dysponowania prawem rybołówstwa przez właściciela; powstają stąd ograniczenia co do podziału prawa rybołówstwa i przepisy co do wydzierżawienia, wreszcie przymusowe tworzenie z drobnych ułamków samoistnych jednostek gospodarczych.

Dzisiejsze ustawy rybackie ujmują bardzo szczegółowo kwestje dotyczące prawa rybołówstwa i odróżniając posiadanie od użytkowania wprowadzają reglamentację użytkowania; opiera się przytem ustawodawca na właściwościach gospodarstwa rybnego i dąży do zabezpieczenia korzyści ogólnych i ochrony zagrożonego dobra ogólnego.

Po zorganizowaniu w ten sposób naturalnych wód w jednostki gospodarcze dąży się do zabezpieczenia trwałości pożytków dwoma drogami. Z jednej strony drogą przepisów i ograniczeń, chroni się ryby przed zbyt intensywnem i nieracjonalnem wytrzebieniem; spotykamy się z ustawami określającemi ograniczenia czasu, miejsca i sposobów połowu ryb; jednocześnie zwalcza się zanieczyszczenie wód i utrudnienie wędrówek ryb. Z drugiej strony oprócz tych t. zw. negatywnych metod polityki rybackiej zostały ugruntowane i pozytywne metody — rozmaite meljoracje, a przedewszystkiem sztuczne rozmnażanie i hodowla ryb, czy to na koszt Skarbu Państwa, czy też przez właścicieli przymusowo złączonych w spółki gospodarcze i poddane kontroli państwowej.

W warunkach rybołówstwa w Polsce, gdzie się nie spotyka obecnie bogatych naturalnych środowisk rybnych — posiada również bardzo poważne znaczenie sprawa realizacji użytków, szczególnie gatunków ryb małowartościowych, stanowiących w rybołówstwie morskiem 50% połowów, a w rybołówstwie śródlądowem 75%. Chodzi w tym wypadku przedewszystkiem: o popieranie przetworu ryb i racjonalnego handlu przez zabezpieczenie fabrykom konserw, oraz przedsiębiorstwom, posiadającym chłodnie, znacznych i trwałych udogodnień oraz ułatwień przy opłatach podatkowych, kolejowych i celnych. Koniecznem jest bowiem wytworzenie tego rodzaju warunków ekonomicznych, żeby hodowla ryb, rybołówstwo, przemysł i handel rybny w Polsce tak ustosunkowały się wzajemnie a następnie wspólnie do ośrodków produkcji ryb zagranicą, żeby zapewniały w kraju producentowi i konsumentowi jak największe i natrwalsze korzyści.

Z powyższego wynika, że polityka gospodarcza w zakresie rybactwa dążąc do rozwoju tego warsztatu produkcji stosuje dwie metody: jedną bezpośredniego oddziaływania, czy to drogą ustaw reglamentacyjnych, ochronnych, lub też czynności zarybiania; — drugą — pośredniego oddziaływania drogą normowania podatków, ceł i opłat kolejowych. Stosowanie drugiej metody stało się możliwem, a stanie się najbardziej aktualnem z chwilą podjęcia normalnych stosunków z Rosją i z Niemcami — które będą niebezpiecznymi konkurentami w zakresie produkcji ryb.

Józef Borowik.

W sprawie konkursu.

W uzupełnieniu sprawozdania z konkursu za największą ilość prenumerat zaznaczamy iż I nagrodę A otrzymało Mińsko-Mazowieckie Tow. Myśl. I nagrodę B -— p. Zabiełło.